precedens do stałego zaużywania. Podwładne urzędy miały otrzymać w tym kierunku specjalną instrukcję osobnym pismem.

Wchodząc do kancelarii Nadleśnictwa, Boroniecki nie przyznawał się do żelaznego listu, w jaki był zaopatrzony i ponowił prośbę. Kpił najwyraźniej z zaciętrzewionego radcy, który jak się pokazało, miał już także relację o jego niefortunnej interwencji we Lwowie. Kierownik Nadleśnictwa irytował się z powodu nagabywania w kwestii już przesądzonej. Pokazując dłoń lewej ręki, zapewniał, że prędzej mu wolsy wyrosną, niż „Olea Montana" otrzyma żądane zezwolenie.

Boroniecki siedział nieporuszony, w końcu powziął sobie na wykład z dziedziny ekonomii, co miało taki skutek, że po radca oschle przeprosił, tłumacząc się ważnymi pracami urzędowemi. Dopiero teraz wydobył dyrektor pismo z ministerstwa i podsuwając pod nos zdumionemu urzędnikowi, zapytał niecco drapieżnie:

— Jak pan uważa, czy ten dokument prawdziwy?

Rada poprawił binokle.

— Hm! Zdaje mi się, że prawdziwy. Cóż to znowu za bocki-klocki?

— Zezwolenie na poprawienie dróg w rezerwacie i odbudowę zniszczonych mostów.

Po przeczytaniu pisma, kierownik Nadleśnictwa stał się znacznie grzeczniejszy. Tłumaczył, że zakaz odbudowy owej fatalnej drogi podyktowano z gór, wobec czego on sam tutaj nic a nic nie winien. Natomiast wyraził zdziwienie z powodu takiej procedury, by strona prywatna mogła mieć wpływ w ręku zezwolenie, niż jemu o tym urzędownie wiadomo.

— U nas w Polsce to już tak — zaopiniował.

— Właśnie. Ale podobno nie ma drugiego kraju w świecie, gdzieby przemysłowi czyniono takie wstrę-

Najzdolniejszymi cymbalistkami były dziewczęta. Z niesłychaną wprawą i z niezwykłym wyczuciem harmonii wybijały dwiema pałeczkami każdą melodię o przeważnie molowym stroju. Z kolebki robotnicze dochodziły co wieczór tęskne arie, wydmuchiwane na starej, zapomnianej już kobzie, na której wygrywał z dużym uczuciem Iwan Hrehorczuk, gazda z Dzembronii, poeta i pierwsza siekiera w Czarnohorze.

Dyrektora fabryki znał każdy robotnik, każda huculska dońcia. Lubiono go niekłamanie. Na sam jego widok tempo pracy się wzmagało. Wiedziano, że jest wymagający i starano mu się dogodzić. Przy tej okazji zerkały ku niemu krotochwilne oczy młodyć, gdyż im się bardzo podobał.

— Ho, hoi Win ne takij! Wytykł pan, ale swoju holowu maje! — mówiły o nim najstarsze siwizną przyprószone gazdy.

— I ne honorujj. Takoho można polubyty — przyświadczały dziewczęta.

Z dawnych robotników ostał się jeno Turczański. Resztę przepędził na cztery wiatry, przekonawszy się, że pracownicy są ladający, baraby, jak ich nazywali majstrzy z Bystrzca. Najpierw wyrzucił Sierpnia, naloowego pilanice, mimo iż pobrał znaczniejszą zaliczkę, po nim wszystkich po kolei. Porozumiawszy się z miejscowymi Huculami, stał się panem sytuacji. Sam poszedł do Bystrzca, Dzembronii i Żabiego. Robotników miał nadmiar, mimo wielkiego zapotrzebowania: na wieść o budującej się fabryce na polonine, zgłosiła się do roboty cała Czarnohora. Ludzie zeszli się w takiej ilości, że zabrakło dla wszystkich miejsca. Nie dziwota. Huculszczyzna, odcięta od świata i na-

mowe tarmosiły je tak uporczywie, że by się im skuteczniej oprzeć, skierowały w tył swe gałęziska, nadstawiając na gwałtowne uderzenia wiatrów jeno pierś, owłosioną bujnym zarostem mchu, muskularną, jak ciało siłacza. Drzewa te o groźnym, wiecznie smutnym poszumie, miano w wielkim poszanowaniu. Boroniecki zakazał surowo ich wyrąbywania. W wątpliwych razach osobiście decydował o życiu lub śmierci tych leśnych patriarchów, przeważnie na ich korzyść.

Największą bolączką był rezerwat czarnohorski, część prastarej, do dziś zachowanej, dziewiczej puszczy karpackiej, rozciągającej się na znacznej przestrzeni na obszarze dopływów i źródlisk Prutu, od Mariszewskiej wzdłuż Homulca, aż po ujście Dancerza. W dzikim, pierwotnym borze nie wolno było ruszyć ani jednego chojara. Nawet wiatrołomy, leżące w poprzek drogi, poprzerzynano jedynie na szerokość wozu z ładunkiem. Reszta pnia leżała po prawej i lewej stronie bezużytecznie i murszała, ale tknąć jej zabroniono. Gajowi patrolowali codzień po okolicy, myszkując, czy nie uszczknięto choćby kawałeczka suchara. Jeśli natrafiono na najmniejszy ślad gospodarki ludzi niepowołanych, zaraz szły raporty do miejscowego Nadleśnictwa. W ten sposób „Olea Montana" płaciła karę za karą, a wymierzano ją w coraz dotkliwszych wysokościach. Tu spalono powalonego przed laty świerka, ówdzie zeschłą gałąź, gdzie indziej potratowano skrzypy i rzadkie rośliny. Każde takie nadużycie kosztowało spore sumy i na to nie pomagał żaden rekurs.

Boroniecki wściekał się na robotników, sam pilnował, by w puszczy nic nie ruszano — nadaremnie. Ludziom, pracującym nad odbudową drogi w samym sercu kniei, brakowało codzień kilka patyków do rozniecenia ognia i ugotowania strawy. Sarkano, zżymano się; nikt nie mógł zrozumieć dziwnego zakazu.

— Był las, nie było nas — nie będzie nas, będzie las — mówiono.

Co piąty olbrzym w borze stał żałośnie uschnięty, pozbawiony igliwia, stoczony przez kornika, czemu nikt jakoś nie zapobiegał. Dbano pieczołowicie o dziki charakter przyrody, zaraziwszy ją wpierw trądem. Suchy patyk w borze był przedmiotem licznych protokołów, ale kornik grasował bezkarnie i nikomu z mędrców lasowych nie przyszło do głowy, żeby podjąć z nim walkę dla ratowania od zagłady przepięknych resztek.

Mimo to firma rozumiała dobrze intencje zarządu lasowego i sama poczęła stosować kary, jeśli się dowiedziano o jakimkolwiek uchybieniu w tym kierunku. Co rano zobowiązany był każdy, kto pracował w puszczy, zabierać z sobą płachtę drzewa lub pęk chrustu z lasu na Mariszewskiej. Wozy, dowożące budulec na mosty, zabierały też drewno opałowe. „Olea Montana" postanowiła sama sobie wystarczać i wystarczała.

Jedna tylko rzecz była nie do pojęcia: Nadleśnictwo odmawiało stale sprzedaży nawet tych pni, co daleko już poza rezerwatem leżały bezużytecznie w strumieniach i tarasowały swobodny spływ wody. Leżanina i wiatrołomy zalegały w wielkich ilościach rzeczne koryta, głównie Prut, tworząc chaotyczną plątaninę. O te zapory wstrzymywały się toczone w czas powodzi piargi i głazy, murując samoczynnie tamy, budując groble, wznosząc śluzy nie do przebycia. Wściekłe wody burzyły się wtedy, wzbierały, wzmagały na sile, po czym rozlewały z hukiem po bokach, niszcząc nowe zalesia, tarmosząc podglebie, nagromadzone pracowicie przez opadłe szpilki i listowie, porywając kloce na zrębach. Dyrekcja fabryki ofiarowała się uprzątnąć koryto i kupić leżaninę nawet po cenie zdrowego drzewa z lasu, gdyż w ten sposób zy-

łogi, sufity, ganki i podesty. Osobno łupano dranice na dach budynku dla zarządu. Fabryka miała być kryta blachą.

Niemałą trudność z poprowadzeniem części drogi nastręczały stoki Homuła. Teren u stóp góry wznosił się nagłym, na kilkanaście pięter wysokim tarasem, o bokach kamienistych, nastroszonych gruboziarnistymi zlepieńcami. Obaj z Rogowskim bobrowali przez kilka dni z rzędu po obszernym urwisku, szukając najdogodniejszego miejsca, co stanowiło długo zadanie nie do rozwiązania. Zaciekle szturmowany taras nie dawał się. Porosły gęstym podszyciem zielonej olszy, zarostami halnego jałowca i świerków, tkwiących w wyszczerbionych zębem czasu piargach, nie dopuszczał ludzi do swoich sekretów. Bronił się uporczywie, usypując pod nogami, staczając na śmiałków głazy, chlaszcząc patykami, kalecząc do krwi.

Codzień wpełzywano w gąszcz na czworakach, badając pochyłość, notując skrętnie każde zagłębienie, dopóki nie zdołano wypalikować jakiej takiej trasy. Była trudna, ale do przeprowadzenia możliwa. Szła płajem wzdłuż potoku, wgryzając się połową w skarpę, gdy druga połowa wymagała gęstego wypilotowania i założenia potężnych kaszyc. Stąd skręcała w tył i tworząc kilka zygzaków, biegła do fabryki. Czekała praca wielka, ale w efekcie celowa.

Las walono bezustannie. Od świtu do nocy wżerały się ostrza siekier zarówno w młodnik, jak i wielowiekowy drzewostan. Każdy pień stanowił pożądany materiał, którego nigdy nie było za dużo. Wyjątkowo respektowano szczególnie stare kolosy leśne, wyrosłe tu chyba jeszcze w zamierzchłych czasach. Stały brodate, sędziwe, okolone pokracznymi konarami. Przypominały łby legendarnych mątew z mackami, zwróconymi ku południowi. To lute wichry jesienne i zi-

wiedzana rok rocznie przez niszczycielskie powodzie, przymierała głodem w każdy przedmówek.

Prawą ręką dyrektora był Józef Rogowski. Świeżo zwolniony z wojska porucznik ułanów. Jego desygnowała firma na kierownika przyszłej fabryki. Na teraz pełnił funkcje sekretarza, kasjera, dozorcy, nawet robotnika. Zdrowie Rogowskiego pozostawiało wiele do życzenia. Miał pamiątkę z wojny bolszewickiej: przestrzelone płuco. Od tego czasu chorlał i pokaszliwał. Ostatecznie przyplątała się gruźlica, z czego nie robił tajemnicy. Mimo to pracował dzielnie i ochotnie, a nawet odgradzał się, że przepędzi na pewno zdradzieckie prątki Kocha, jeśli tu dłużej pobędzie. Istotnie zdrowe górskie powietrze widocznie mu służyło; czuł się z każdym dniem lepiej. Nastał blady, schorowany, teraz chodził opalony jak cygan, nabrał rumieńców i z fanatyzmem rekonwalescenta pokochał te dzikie okolice, darzące zdrowiem i siłą.

Rogowski, choć pozostawał ze swoim szefem na stopie kolezeńskiej, respektował go i patrzył weń jak w tęczę. Boroniecki mu imponował niefrasobliwym humorem, życiową tężyzną, rozmachem, a w potrzebie stanowczością. Widział w nim zdolnego pionera nowego, nieznanego dotąd w kraju przemysłu i człowieka pracy, który wie, czego chce. Obaj zmieniali się kolejno przy nadzorze nad robotami, ustalając co wieczór dyspozycje na cały następny dzień.

Boroniecki pilnował głównie fabryki i budynku, przeznaczonego na zarząd. Obie budowle wznoszono równocześnie: fabrykę na przodzie, dom w niewielkim oddaleniu z tyłu. Pomimo swego ogromu, fabryka rosła jak na drożdżach. Z lasu odstawiano na miejsce budowy gotowe, już ociosane belki. Tutaj je tylko przycinano, przymierzano, po czym drzewo znikało w olbrzymich ścianach fabrycznego gmachu. Cztery traćkie piły przecierały przez cały dzień deski na pod-

skałaby na dowozie. Ofertę jakby na złość odrzucono. Co więcej — odmówiono sprzedaży drewna budulca aż z tartaku w Worochcie, lub z własnego lasu na Mariszewskiej.

Boroniecki widział tę dziwną niechęć Nadleśnictwa do zarządu fabryki i nie rozumiał powodów, dla jakich starano się ją niejako za każdą cenę pognębić. Wszak drewno z lasów państwowych sprzedawano bez trudności żydowskim spółkom, dzierżawiącym tartaki w całych Wschodnich Karpatach. Dlaczego stosowano surowe rygory właśnie względem firmy rdzennie polskiej? Wszak budowano na najdalej wysuniętych rubieżach kraju potężny warsztat pracy; wszak wznoszono fabrykę, gdzie miały znaleźć zatrudnienie setki głodujących i co rok przez rząd subwencjonowanych Huculów, najuboższych ludzi w kraju; wszak nowe konsorcjum było pionierem przemysłu w nieznanej dotychczas w Polsce dziedziny olejków eterycznych, koniferowych, sprowadzanych rok rocznie z zagranicy dla celów leczniczych i farmaceutycznych za dziesiątki milionów!...

Na nic się nie zdały nalegania, na nic przedstawienia, prośby. Radca miejscowego Nadleśnictwa znajdował na wszystko ugrzeczniony uśmiech, zdawkowe, konwencjonalne półsłówka, nic więcej. Co gorsza — bruździł.

Że tak było w istocie, przekonał się Boroniecki zaraz z początkiem robót. Kiedy rozpoczął odbudowę zniszczonej przez powodzie drogi i mostów, otrzymał na piśmie formalny zakaz, by się nie ważył tknąć odcinka w rezerwacie. Zakaz ten przekreślał wszelkie plany firmy, bowiem droga przez rezerwat była jedyną, którędy można było dojechać na połoninę. Boroniecki prosił, molestował, tłuczył, że droga ta, jako jedyna, jest konieczna: że prawo przejazdu uzyska choćby w trybie zwyczajnej skargi, czego nie czyni je-

dynie dlatego, że szkoda czasu. Wszystko nadaremnie. Nadleśnictwo odmówiło kategorycznie, doradzając właśnie spór sądowy. Jeśli firma proces wygra, zezwoli, dlaczego nie, ale bez procesu się nie obejdzie.

Niezrażony tym Boroniecki wsiadł tego samego dnia do pociągu i już nazajutrz interwenjował w drugiej instancji. Wysuwał te same argumenty, uzasadniał konieczność odbudowy drogi w rezerwacie bra-kiem innego dostępu, przez co pierwotny charakter puszczy nic na tym nie straci, apelował, by mu nie czyniono wstrętów w imię rozbudowy gospodarstwa społecznego. Spotkał się z zimnym przyjęciem. Już wiedziano i tu o nowej firmie, budującej się na Mariszewskiej. Oświadczono krótko i węzłowato, że właśnie z przyczyn gospodarczych nie mogą udzielić zezwolenia zarówno na odbudowę, jak i przejazd. Dyrekcja Lasów solidaryzowała się najzupełniej ze stanowiskiem Nadleśnictwa i obstawała twardo przy swoim. Wszelkie argumenty, najbardziej rzeczowe, okazały się przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę.

Zdawało się, że sprawa uruchomienia fabryki została ostatecznie poprzebana. Wydatkowany już kapitał miał iść na marne. Tak myśleli wszyscy, ale zdania tego nie podzielał Boroniecki. Nie opowiadając nikomu, wsiadł do samolotu i w dwie godziny później wylądował w Warszawie. Pierwsze kroki skierował do premiera rządu, z którym żył na stopie przyjacielskiej, a stąd, zaawizowany telefonicznie, zgłosił się w Ministerstwie Rolnictwa.

Tej samej nocy wracał do Worochty, wyposażony przez ministra w wypisane odręcznie upoważnienie na odbudowę żądanej drogi przez rezerwat, tudzież na przejazd za opłatą na warunkach, jakie miały dodatkowo oznaczyć władze podległe. Ową opłatę dyktowała ostrożność szefa ministerstwa, by nie zaistniał

SERCE i MIEŚĆ

SENSACYJNA POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA NAPISAŁ: LUCJAN CARY
PRZEKŁAD AUTORYZOWANY

ODCINEK PIERWSZY

PRZY OKRĄGŁYM STOLE

Earl Wellington, z powodu imienia przezwany „hrabią", wstał i powlókł się ku drzwiom. Przez dwa ostatnie dni tkwił bezczynnie w kącie sali konferencyjnej na piątym piętrze najdroższego w Chicago hotelu i przysłuchiwał się targom o dwa i pół procent. Niekiedy manager jego wraz z adwokatem udawali, że różnice zdań między nimi z jednej i aranżerami spotkania oraz ich pomocą prawną z drugiej strony dotyczą sumy gwarancyjnej. Ale to było tylko pociągnięciem na szachownicy. W istocie szło o udział w zyskach. Wysokość gwarancji oddawna była ustalona. Przedsiębiorcy po cztero- czy pięciogodzinnym wałkowaniu sprawy oświadczyli gotowość zagwarantowania stu tysięcy dolarów.

Hrabia chętnie byłby podarował owe dwa i pół procent, aby tylko się od nich odczepić. Ale był tam jeszcze Jake Levy: ten nie wdawał się w takie interesy! Bo Jake w sprawach pieniężnych lubił się targować, targ uważał nietylko za obowiązek kupiecki, ale i za osłodę życia.

Hrabia obrzucił wzrokiem grupę zebranych przy okrągłym stole. W oczach jego malował się zarówno podziw jak i pogarda, uczucie antypatii, z jakim młody utalentowany człowiek przygląda się starszym od siebie i mądrzejszym, którzy umieją wycisnąć kapitał z jego sukcesów. Zawsze lubił Jaka, ufał mu. Bo Jake — o tym wiedział, — był szczery i uczciwy. Niestety jednak objawiał rodzaj nahalnej żywotności, co już po kilku godzinach działało na nerwy, a po dwóch dniach było nie do zniesienia. Nawet pogodne usposobienie i swoista przyjacielskość zdawały się wypływać z tej właściwości charakteru.

A więc tkwili pochyleni nad stołem, ich różowe karki układały się w grube fałdy. Sterczeli tam niby góry tłuszczu, za wyjątkiem chyba adwokata Mullina, ale i ten cieszył się wcale poważną tuszą. Hrabia przewyższał ich wzrostem o pięć centymetrów, o pięćdziesiąt funtów był lżejszy, zaś o dwadzieścia lat młodszy od najmłodszego z nich. Cmokali grube cygara i rzucali niesłychanymi sumami. Na palcach połyskiwały wielkie brylanty. Tak byli zawzięci, aby z bezbronnego Earla Wellingtona wycisnąć jeszcze więcej pieniędzy, że zupełnie zapomnieli o jego obecności. I dlatego też nie zauważyli, gdy się nagle ulotnił.

Z aksamitnym wdziękiem pantery wślizgnął się hrabia do swojej sypialni, porwał płaszcz i kapelusz i spłynął do hotelowego hallu, z góry ciesząc się miłą perspektywą, że z Barneyem, który odstawił był samochód przy pobliskiej przecznicy, zażyje swobodnej przejażdżki wzdłuż brzegów jeziora Michigan. Mógł przecież wrócić na czas, zanim jeszcze owe grubasy rozzłoszczą się z powodu jego nieobecności.

Barney oczekiwał u drzwi wejściowych i podszedł natychmiast, gdy tylko ujrzał hrabiego, wychodzącego z windy. Ale w kilku sekundach, jakich potrzeba było szoferowi, aby przejść przez hall, zdarzyło się coś, co zniweczyło wszystkie plany Earla Wellingtona, coś, co mu się dotąd w ciągu dwudziestuczterech lat jego życia nigdy jeszcze nie przytrafiło.

POCIĄG ODJEŻDŻA O PIĄTEJ

Jakaś dziewczyna w towarzystwie nieznanego młodzieńca weszła do sieni hotelowej przez drzwi od strony Michigan-Avenue. Minęła hrabiego o krok i właśnie rzekła do towarzysza:

— Nie zapomnij, Tomku, pociąg odjeżdża o piątej!

Świeża i młoda, nie miała więcej niż dwadzieścia lat, przy tym była bardzo ładna i ubrana gustownie. I było w niej jeszcze coś innego; coś, co zdarza się tylko raz na dziesięć tysięcy wypadków i co poznać można natychmiast: był w niej rozmach! Szczupła, jak większość współczesnych dziewcząt, nie wyglądała jednak bynajmniej słabowicie. Przeciwnie, promieniała radosnym zdrowiem. Nawet brązowe loki pod rondem kapelusika żyły jak gdyby własnym życiem. Nade wszystko jednak głos jej, o ciemnym brzmieniu dzwonu, a przy tym bardzo naturalny, sprawił, że hrabia przystanął jakby wbity w ziemię. Stał i patrzył, póki oboje nie znikli za drzwiami. Barney nieźle klepnął go po plecach, żeby zaznaczyć swoją obecność:

— Masz kręćka, szefie? — zakpił.

— Będziesz mi potrzebny później... przed piątą, — rzekł hrabia. Mówił jakby we śnie.

— Wedle mnie!... Wóz stoi po drugiej stronie ulicy!

Wellington skinął i poszedł za dziewczyną. Usiadła z towarzyszem obok tanecznego parkietu kawiarni hotelowej i hrabia znalazł jeszcze wolny stolik naprzeciw. Zamówił herbatę i udawał, że przygląda się muzykantom, którzy dopiero przychodzili jeden po drugim i poczęli nastrajać instrumenty. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy, że ścigał dziewczynę...

Wiele kobiet skrzyżowało drogę jego życia. Niektóre, o tym wiedział, narzucały mu się, ponieważ wyglądał doskonale, niektóre też, ponieważ był bogaty i sławny, a jeszcze inne, ponieważ miały przyrzeczone sute wynagrodzenie od jego przeciwników, gdyby im się udało osłabić jego bitność i zdolność do walki. Niedawno dopiero któraś przyznała mu się we łzach, że proponowano jej pięćset dolarów, jeżeli by jej się udało upić hrabiego — i dwa tysiące dolarów, gdyby zdołała go trzymać „pod gazem" przez trzy dni.

Nora McCune pozostała jedyną przyjaciółką Earla. Ale Nora była starsza od niego i zbyt zajęta własną karierą gwiazdy teatru. I dlatego z tej długoletniej przyjaźni nie wyszło nigdy nic więcej, ale też i nigdy nic mniej.

Cichutko zagrała orkiestra, z pozatykanymi trąbami i saksofonami, których głuchy dźwięk mieszał się z rytmicznym zawodzeniem skrzypiec. Dziewczyna i jej Tomek przetańczyli tak blisko stołu hrabiego, że mógłby ich dotknąć ręką. Każdy musiałby przyznać, że była ona poprostu wydarzeniem. Od szczupłych kostek w jedwabnych pończoszkach aż po krótko przystrzyżone włosy rasowej główki! Nie wyglądała wyzywająco, bynajmniej! Wedle zapatrywań hrabiego nie można być „wydarzeniem", skoro by się coś robiło lub powiedziało coś wyzywającego.

Narazie nie widział możliwości, aby zbliżyć się do przedmiotu swoich uczuć. Ale nie byłby już zdolny odwrócić się i wymazać dziewczynę z pamięci. Stała się nagle treścią wszystkich jego tęsknot.

Nie miał wątpliwości od początku, co w danym wypadku należało uczynić: zamierzał pozostać w kawiarni, dopóki tamci nie wyjdą. Potem pójdzie tam, dokąd ona — aby stwierdzić, gdzie mieszka i kim jest. Wówczas będzie można zastanowić się nad sposobem, jakby najlepiej zawrzeć z nią znajomość. Tak był zajęty tymi planami, że nawet nie pomyślał o grubych jegomościach na piątym piętrze, którzy przecież w ciągu ostatnich lat regulowali jego życie aż do najdrobniejszych szczegółów i napewno zrobią wszystko, co tylko mogą, aby przeszkodzić jego zamiarom.

Dziewczyna zatańczyła dwa razy. Potem spojrzała na zegarek i szybko opuściła lokal, pociągając za sobą młodzieńca. Hrabia trzymał się w odległości niespełna dwu metrów, gdy wyszli przez szerokie drzwi obrotowe na Michigan-Avenue. Od najbliższego postoju zbliżyła się taksówka, do której Tomek pomógł wejść swojej pani.

Hrabia kiwnął na Barneya. Eleganckim łukiem zajechał samochód przed wejście hotelowe.

— Za tą taksówką, Barney! Oni chcą zdążyć jeszcze na jakiś pociąg o piątej — i ja też!

Szofer zmierzył swego pana zdumionym spojrzeniem. Pięć czy sześć lat już byli razem, nigdy nie mieli przed sobą tajemnic, razem zwyciężali i tracili, razem używali i biedowali na przemian.

Hrabia uśmiechnął się. Chciał podrażnić trochę swego oddanego pomocnika:

— Już ja wrócę! Pytanie tylko, kiedy?

— A jaką historyjkę mam opowiedzieć tym wujom na górnym pokładzie? — Barney służył poprzednio w marynarce i lubił upiększać język wyrażeniami morskimi.

— Powiedz, że kazałem ci jechać na dworzec i czekać. Więcej nie wiesz o niczym.

— Akurat! I przypuszczasz, że Jake zadowoli się tym?

— Przecież nie może cię wyrzucić, człowieku!

— Pi, niech spróbuje... Jeszczebym to jakoś zniósł. — Barney łysnął groźnie zębami. — O ile... hm... o ile jesteś pewien, że naprawdę nie będę ci przy tym potrzebny.

— O nie, stary, tę partyjkę chcę sam rozegrać!

Taksówka zatrzymała się przed dworcem. Hrabia skinął raz jeszcze Barneyowi i podążył za swoją ofiarą i jej towarzyszem do przedsionka dworcowego. Tutaj oczekiwały ich dwie przyjaciółki i jeszcze jakiś młodzieniec. Pięcioro ich pobiegło ku schodom peronowym. Wellington nie miał biletu, ale przecisnął się obok biletera z miną, jakby do niego należał cały dworzec, i urzędnik nie miał odwagi, by go zatrzymać. W pociągu dopiero powiedział mu konduktor, że tamci młodzi ludzie, to studenci z uniwersytetu państwowego w Grandison. Wykupił więc bilet do tej miejscowości i dowiedział się, że podróż potrwa około sześciu godzin.

Gdy załatwiał te formalności, wagon-palarnia był jeszcze pusty. Ale niebawem trzech czy czterech studentów usiadło w sąsiedztwie hrabiego. Z za gazety przysłuchiwał się ich rozmowie: jakże pragnął znaleźć się na miejscu któregoś z nich. Dałby w zamian wszystko, co posiadał: ćwierć miliona dolarów, leżących w pewnych papierach w skrytce nowojorskiego banku...

Earl Wellington opuścił szkołę ludową w trzynastym roku życia i dawał sobie radę na własną rękę. W Nowym Jorku i w Londynie, w Melbourne i w Berlinie zdobył sobie nazwisko. Jak na swój wiek zarabiał bardzo dużo, ale gorące pragnienie młodości, aby stać się dżentelmenem, nie ziściło się do tej pory. Był dość naiwny, aby sądzić, że droga do tego celu prowadzi przez uniwersytet. I w sąsiedztwie tych młodych ludzi, dla których studium uniwersyteckie zdawało się czymś samo przez się zrozumiałym, odczuł nagle boleśnie, jak daleki był ich kołu, jak mało znaczył wobec tych smukłych młodzieńców, mających przywilej, żeby żyć na równej stopie z dziewczyną, której szukał.

Nowojorskie koszary mieszkalne, gdzie ujrzał światło dzienne, dzień i noc drżały od huku kolei nadziemnej. Towarzyszami jego młodości byli synowie robotników portowych, których najgorętszym pragnieniem było należeć do możliwie najbardziej podejrzanej zgrai łobuzów. Matka zmarła, gdy Earl miał dziesięć lat. Niewiele później ojciec jego zginął, przygnieciony żórawiem portowym.

Osierocony brzdąc czymprędzej zemknął z widowni, w obawie, aby się nagle nie znaleźć pod opiekuńczymi skrzydłami dobroczynności magistrackiej. Udało mu się dostać do cyrku.

Gdy wspominał lata chłopięce, stawali mu przed oczyma nędzarze, szczęśliwi, gdy choć raz w tygodniu najedli się do syta i gdy w niedzielę mogli sobie pozwolić na butelkę wódki. Nawet umiejętności prawidłowego obchodzenia się z widelcem i nożem nie nauczyły go lata młodości. Przyswoił to sobie sam, gdy zaczął czytać książki.

Raz tylko w ciągu smutnego, szarego dzieciństwa otwarł się przed jego wzrokiem piękniejszy świat. Pewnego lata mianowicie zniesiono rząd nędznych domów mieszkalnych naprzeciw. Wkrótce wybudowano w ich miejsce szereg uroczych domków. Do którejś z nowych will wprowadziła się rodzina wraz z chłopcem w wieku Earla. Nazywał się Allan Brooke i dziewięcioletni Earl Wellington zapoznał się z nim niebawem. Allan zaprosił rówieśnika na imieniny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

...pochyleni nad stołem. Cmokali grube cygara i rzucali niesłychanymi sumami.

Świat kobiety

Cóż w tym dziwnego, że kobieta chce być piękną?

Kobieta ma nie tylko prawo przyrodzone do urody, ale i obowiązek dbania o nią: o jej utrzymanie i o jej podnoszenie wszystkimi możliwymi, a dla zdrowia nieszkodliwymi środkami. Troska jednak o urodę nie może prowadzić do sztucznych i nienaturalnych jaskrawości.

W wielkim świecie mody trwa ciągły ruch. Kiedy się przegląda w pismach kobiecych mody, które obowiązywały choćby tylko w czasach powojennych, łatwo przekonać się, jak w tym bezustannym ruchu człowiek tworzy ciągle coś nowego, a natura przywołuje go do porządku i zmusza do odwołania tego, co stworzył wczoraj zaledwie.

Dziś moda czyni odwrót od wszelkiej niezwykłości, fantazji i sztuczności, a wraca do naturalnego piękna i harmonii. Odnosi się to zarówno do strojów kobiecych jak i do kobiecej urody w ogólności. Był taki czas, że wiele młodych kobiet chciało się koniecznie przemienić na „Gretę Garbo" czy „Marlenę Dietrich": zmieniało barwę włosów, goliło brwi, wprawiało rzęsy, zmieniało szminką kształt ust itd. Doszło do tego, że, według praw mody, nie podobała się kobieta ładna, urodziwa, ale sztucznie oryginalna. Ta sztuczna oryginalność szczególnie przykre robiła wrażenie u tych kobiet, które, dla siebie mając mało czasu i pieniędzy, bezmyślnie naśladowały widziane na filmach „gwiazdy". Tymczasem i gwiazdy filmowe zarzuciły sztuczność i coraz więcej widać na ekranie typy kobiet o urodzie zdrowej, świeżej i naturalnej.

Kobieta jednak chce być piękną i dlatego musi pomóc naturze, która niezawsze obdarzyła ją wszystkimi naturalnymi wdziękami. Pomoc to jednak musi być tak dyskretna, by nie zmieniała własnego typu urody. Niewidoczne brwi i rzęsy można przyciemnić, ale jedynie tak, aby harmonizowały z kolorem włosów. Bezbarwnym policzkom potrzeba delikatnego rumieńca, aby uzyskały wygląd świeży. Barwienie ust to sprawa niełatwa — jest jednak w pomadkach do ust taki wybór, że ostatecznie nie trudno znaleźć barwę pomadki odpowiednią.

Niesposób dać gotowe przepisy dla każdego typu urody, wystarczy tylko stwierdzić jeszcze raz, że przy posługiwaniu się środkami kosmetycznymi obowiązuje dyskretność i umiar.

Ciekawie wyglądają zabiegi dbałej o swoją urodę kobiety, utrwalone na reprodukowanym obok „filmie". Przyjrzyjmy się im kolejno (według zdjęć od góry do dołu) i ustalmy wskazówki na każdy zabieg:

Po dokładnym umyciu twarzy nałożyć na czoło, brodę i policzki nieco kremu i wetrzeć równomiernie i lekko palcami w skórę, omijając nos (fot. 1).

Nałożyć róż i rozprowadzić go palcami po policzkach od nasady nosa aż pod skroń. Zrobić to starannie zacierając umiejętnie brzegi, nic tak bowiem nie szpeci kobiety, jak policzki jaskrawo uróżowione (fot. 2 i 3).

Pudrowanie zaczynać od dolnej części policzków. Dużym miękkim puszkiem lekko pudrować dookoła nosa, oczu i podbródka, sam nos pozostawiając na koniec. Pudru nie szczędzić, a nadmiar usunąć watą (fot. 4).

Przychodzi kolej na usta. Ołówkiem karminowym zakreślić kontury ust (fot. 5), po czym pomadką umalować całe wargi; pomadkę dobrze wetrzeć palcami. Po umalowaniu wargi górnej usta silnie zamknąć, aby pomadka przeniosła się na wargę dolną i ustom nadała kształtu symetrycznego (fot. 6).

Brwi zarysować czarnym ołówkiem bardzo dyskretnie, po czym kreskę rozestrzeć palcem, aby stała się niewyraźną (fot. 7).

Przy wszystkich tych zabiegach pamiętać, że barwa kosmetyków (puder, róż, ołówki) musi być bezwzględnie dobrana do cery, w przeciwnym razie efekt będzie sztuczny i nienaturalny. I o tym wreszcie zechcą Czytelniczki moje pamiętać, że przy kupowaniu kosmetyków należy pierwszeństwo dać doskonałym już wyrobom krajowym. Miliony złotych wydawane na ten cel przez wszystkie kobiety niech nie wzbogacają obcych.

HALINA

Twarzowe uczesanie należy do najważniejszych trosk dbałej o urodę kobiety. I tu widzimy powrót do naturalnego piękna. Najmodniejszy kolor — to kolor włosów własnych. Kolory sztucznie rude i platynowe należą już do przeszłości. Przy wyborze fryzury pamiętać o względach nie tylko estetycznych, ale i praktycznych. Obowiązek to szczególnie ważny dla kobiet pracujących, których wygląd zewnętrzny winien być zawsze jak najbardziej staranny.

KOBIETA

Kobiecie Polce natura dała
Piękno w tworzenia właściwym czasie:
Najprzepyszniejsze powaby ciała,
Którym anieli zazdroszczą zda się. —

Przez sześć dni pełnych (oprócz niedzieli)
Siły przyrody zajęte były;
Dały jej wreszcie oczy gazeli,
By jako gwiazdy marząco lśniły. —

Najwięcej z sercem było trudności,
(Nie chciano, aby zbyt była płocha),
Dano więc takie, że dla miłości
Wszystko poświęci, ale gdy... kocha. —

Aby zaś praca nie była pusta,
Natura, pełna przedziwnej wen,
Z dwóch listków róży skroiła usta,
Darząc je wabnym śmiechem syren.

A potem dano włosy kobiecie,
Przy lśnieniu których opale gasną.
I najcudniejszy, jaki jest w świecie
Złożono powab na głowę jasną.

Sznureczka ząbków szukała zorza
W głębinach ziemi i w skalnej niszy;
Aż go znalazła, hen, na dnie morza,
Gdzie wraz z perłami leżał wśród ciszy.

Bóg też dał Polce inne zalety:
Tkliwość anielską i moc polotów.
Cóż więc dziwnego, że dla kobiety
Polki, Mężczyzna życie dać gotów!

Stanisław Żyżkowski.

Żurnale
Czasopisma
krajowe i zagraniczne
LECH ULATOWSKI
Poznań, Fredry 3
Tel. 51-32
HURT — DETAL
PRENUMERATY
Jedyne polskie i chrześcijańskie przedsiębiorstwo tego rodzaju w miejscu. dg 25591

Korzystajmy z zimy!

Wszyscy pracujemy i dzień nasz jest wypełniony, zdawałoby się, po brzegi zajęciami ciężkimi i koniecznymi. Jesteśmy stale zmęczeni. Ktoby tam miał czas na ślizgawkę i narty! — powie niejeden. To dobre dla młodzieży. A zresztą, na sporty trzeba mieć warunki odpowiednie — tereny blisko, no i trzeba trochę pieniędzy, bo ekwipunek kosztuje.

Tymczasem jednak, powiedzmy sobie szczerze, że to nietylko przyjemność, ale i zdrowie, zapas sił do pracy, sił, których tak potrzeba. A sporty zimowe przez to, że się jest w otoczeniu pozbawionym kurzu, są bardzo zdrowe i bardzo dużo dla zdrowia dają.

Kto mieszka w okolicach podgórskich, albo poprostu na wsi lub w małym miasteczku, ma bardzo ułatwione warunki narciarskie. Ale i w mieście, nawet pracując cały dzień, można jeszcze pójść na ślizgawkę wieczorem. Godzinka na łyżwach poprostu odrodzi człowieka fizycznie i duchowo. Dla pań będzie miało to znacznie większe znaczenie, niż forsowne kuracje odtłuszczające, a napewno będzie zdrowsze.

Przesądem jest, że to „dobre dla młodzieży". Dobre jest dla wszystkich bez wyjątku. A drugim przesądem — kosztowność sportów zimowych. To prawda, że jednorazowy wydatek na ekwipunek wymaga pewnego wysiłku, ale można przygotowywać się do tego już od lata, można wyekwipować się na drobne spłaty, a jeśli chodzi o łyżwiarstwo, to wydatek jest minimalny. Każda prawie z pań posiada w garderobie jakąś starą spódniczkę. Ciepły sweter, wełniane pończochy i skarpety, buty z łyżwami — to ten jednorazowy wydatek, który na bardzo długo starczy. Może to lepiej, niż sprawić sobie jakąś wieczorową sukienkę.

Oczywiście, przy stałej i dobrej jeździe trzeba sprawić spodnie i bardziej klasyczny strój łyżwiarski; na początek spódniczka ze swetrem zupełnie wystarcza. Do kostiumów narciarskich doskonale dadzą się zużytkować wełniane samodziały, tak tanie na Kresach.

Z bardzo skromnego budżetu, drobnymi, groszowymi oszczędnościami można sobie sprawić to, czego koniecznie potrzeba do nart lub łyżew. A będą to oszczędności dobrze ulokowane: przyniosą w procencie zdrowie.

Gody w dawnej Polsce

Zanika niestety tradycja z roku na rok. Zbyt szybkie jest tempo życia — mamy czas tylko na rzeczy najkonieczniejsze. Co innego dawniej — życie szło niefrasobliwie, uświęconym trybem, wydarzeń było mało, i dlatego święta były etapami, które dzieliły codzienność i rozjaśniały ją urozmaiconymi obrzędami.

W okresie Bożego Narodzenia dawnymi czasy na wsi czas najwolniejszy był od zajęć gospodarskich. Gody, jak dawniej zwano Boże Narodzenie (nazwa ta do dzisiaj przechowała się u ludu), obchodzono uroczyście i wesoło. Wieczerza wigilijna była oczywiście punktem kulminacyjnym. Po czterech kątach izby rozstawiano snopy zboża, obrus zaścielano na sianie. We dworach szlacheckich pod talerzami kładziono kartki z życzeniami, dowcipnie wierszem układanymi, do czego sprowadzało się zdolniejszych żaków, albo bakałarzy.

Liczba osób przy stole musiała być parzysta, liczba potraw — nieparzysta. Zwyczaj ten przestrzegany jest i dzisiaj. Tylko liczba potraw znacznie się zmniejszyła, w dawnej Polsce bowiem dochodziła czasem do dwudziestu kilku! W dniu tym najuboższy nawet gospodarz dbał, aby jego „gadzina" była dobrze nakarmiona. Miało to być zapowiedzią dostatku na cały rok. Ziarno, wykruszone po wilii ze snopów, stojących w izbie, dawało się drobiowi, słomę — bydłu, a także, skręciwszy część słowy w powrósła, przepasywało się drzewa owocowe, aby dobrze rodziły.

Po wigilii zaczynała się dla młodzieży prawdziwa uroczystość: chodzenie po kolędzie. Była to zabawa, zastępująca teatr w tych czasach ludziom, którzy go nie znali, a zarówno aktorzy, jak i widzowie, bawili się znakomicie. Część młodzieży przebierała się za traycyjne postacie szopki: Heroda, Żyda, Cygana, niedźwiedzia, tura i t. d. a wesołość nie miała końca, kiedy widzowie zgadywali pod przebranymi postaciami swoich znajomych.

Do dzisiejszego dnia przetrwało na wsi i w niektórych miastach chodzenie po kolędzie; na wsi zwłaszcza jest ono niemałą atrakcją. Kolędników każda gospodyni obdarza, czym może. Kolędy trwają do Trzech Króli. Przez cały ten czas w dawnej Polsce nikt po zachodzie słońca nie pracował ostrymi narzędziami, gospodynie nie przędły i nie motały. Były to tak zwane „święte wieczory", które schodziły na wspólnym śpiewaniu pieśni pobożnych i świeckich, opowiadaniach, pogaduszkach. Był to czas wypoczynku, niejako urlop po całym roku ciężkiej pracy, czas układów, zrękowin i spraw towarzysko-rodzinnych.